

TEMATY TYGODNIA

- 10** Ola Cichowlas, Ewa Wilk
Sprawa Daniela Pełki: śmiertelna samotność
- 14** Edwin Bendyk
Pożytki z lenistwa

POLITYKA

- 18** Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
PO: niepotrzebne wybory

DOSSIER

- 20** Marcin Rotkiewicz, Paweł Walewski
Szkoda ci zwierząt? Może wegetarianizm?

KRAJ

- 25** Juliusz Cwieliuch
Ukryci samobójcy na drogach
- 28** Marek Henzler
Żołnierze Armii Czerwonej tęsknią za Polską
- 32** Piotr Pytlakowski
Tajemnica restauracji Gama
- 36** Joanna Cieśla
Polak w klitce

RYNEK

- 38** Joanna Solska
Kulczyk i Krauze: różne losy polskich oligarchów
- 42** Cezary Kowanda
Lot - szczupła linia

ŚWIAT

- 44** Filip Gańczak NIEMCY
Merkel uwodzi imigrantów
- 47** Maciej Okraszewski HISZPANIA
Costa del Sol - mała Rosja
- 50** Łukasz Wójcik FRANCJA
Winiarze się pienią

HISTORIA

- 52** Marek Henzler
Poczet władcyków
- 56** Barbara Pietkiewicz
Holenderskie operacje na polskich sercach

NAUKA

- 58** Adam Zubek
Jak lampa naftowa zmieniła świat
- 62** Aneta Brzezicka
Dlaczego działa placebo



10 Tragedia polskiego dziecka wstrząsnęła Brytyjczykami



14 Jak leniuchować, żeby pracować



25 Samobójstwa samochodowe



28 Wesole wakacje w Polsce

- 65** Agnieszka Krzemińska
Sekrety budowniczych rzymskich mostów

KULTURA

- 72** Janusz Wróblewski
Polańskiego sztuka przetrwania
- 76** Piotr Sarzyński
Pisarze o malarzach
- 78** Rozmowa z reżyserami
Raúlem de la Fuente i Damianem Nenowem o ekranizowaniu prozy Ryszarda Kapuścińskiego
- 81** KAWIARNIA LITERACKA
Grażyna Plebanek
- 82** Juliusz Cwieliuch
Harrisonowie - telewizyjne gwiazdy z lombardu
- 85** MEA PULPA Kuby
Wojewódzkiego

LATO W DOBRYM TOWARZYSTWIE

- 86** Mela Koteluk,
wokalistka, o podróżach po bezdrożach

LUDZIE I STYLE

- 92** Mariusz Herma
Łączy nas Skype
- 96** Tomasz Zalewski
Nietykalny mafioso z Bostonu
- 98** Paweł Walewski
Taniec połamańców
- 100** Marcin Piątek
Jak baseballista z Rybnika trafił do Jankesów
- 105** Piotr Adamczewski
ZA STOŁEM Masło dla zmysłów

NA WŁASNE OCZY

- 108** Ewa Wilk, fotografie Stanisław Ciok
Życie Ptaszków wśród storczyków

STAŁE RUBRYKI

- **4** Mleczko i Mizerski
- **5** Ludzie i wydarzenia • **68** Afisz
- **102** Passent • **104** Stomma
- **106** Do i od redakcji
- **106** Fusy, plusy i minusy
- **114** Polityka i obyczaje

Okładka inspirowana „Piramidą zwierząt” Katarzyny Kozyry



ślawomir mizerski z życia sfer

O jeden Franciszek za daleko

felieton



Aby zdobyć sensacyjny materiał, lewicowo-liberalne media posuwają się coraz dalej. Niedawno pewien dziennikarz TVP przebrał się za uchodźcę i dał się zamknąć w strzeżonym ośrodku, żeby kamerą ukrytą w zegarku nakręcić materiał obnażający tamtejszą rzeczywistość. Szukanie tematów na siłę tam, gdzie nie chcą nas wpuścić i z nami rozmawiać, jest praktyką pożałowania godną. Na szczęście są przykłady dziennikarstwa zupełnie innego, prezentowanego choćby przez braci Karnowskich w tygodniku „wSieci”. Udowadniają oni, że ciekawe tematy można znaleźć wszędzie, także w zwykłej rozmowie z ciekawym człowiekiem, np. z głównym sponsorem pisma, senatorem Biereckim z PiS – patriotą i bankowcem znanym z tego, że leży mu na sercu jasno określone dobro.

Będący pokłosiem rozmowy wywiad jest obszerny, bo Bierecki

mówi o sobie chętnie i szalenie ciepło, a bracia Karnowsky starają się mu nie przerywać. Publikacja pokazuje, że między senatorem a braćmi Karnowskimi zachodzi chemia, a może nawet coś więcej. Efektem jest taki, a nie inny poziom wywiadu, a o profesjonalizmie obu redaktorów najlepiej świadczy fakt, że osiągnęli go bez niepotrzebnego prowokowania i obnażania rozmówcy czy nagrywania go kamerą ukrytą w zegarku.

Niedawno bp Ryczan ujawnił, że „międzynarodowy sekularyzm, dowodzony przez masonerię, opanował środki masowego przekazu i toczy walkę z Kościołem”. Nie jest tajemnicą, że w walce tej liberalno-lewicowe media posuwają się do zawłaszczania ważnych dla Kościoła postaci. Głośna stała się zwłaszcza afera z zawłaszczeniem osoby papieża Franciszka, którego liberalno-lewicowe media, powołując się na jego publiczne wystąpienia, usiłują przedstawić jako

człowieka mądrego, dobrego i tolerancyjnego, także wobec gejów.

To prawda, papież Franciszek miał kilka słabszych dni, ale moim zdaniem nie daje to lewicowo-liberalnym mediom prawa do tego, żeby dobrze o nim pisać. Redaktor Terlikowski ostrzega, że media te piszą tak specjalnie, żeby osłabić polski Kościół i obniżyć jego mocną pozycję w kraju. Niestety, trzeba powiedzieć, że pomimo ostrzeżeń Terlikowskiego działania te są skuteczne. Wiele osób twierdzi, że gdy czytają o Franciszku – kochają go, cieszą się i po prostu chce im się żyć, a przecież z opinii głoszonych przez polskich biskupów wiemy, że nie o to w naszym katolicyzmie chodzi. Dlatego czytelnicy prasy patriotyczno-katolickiej mają nadzieję, że przejmowaniu przez media liberalno-lewicowe ludzi takich jak papież Franciszek zostanie powiedziane zdecydowanie „nie”. Boją się oni, że w przeciwnym razie już niedługo mogą zostać sam na sam wyłączeni z ludźmi takimi jak redaktor Terlikowski i bracia Karnowsky.

Odpust zupełny



Mariusz Janicki

Prawicowe komentarze po napaści na Grzegorza Miecugowa przez mieszkarnia Białegostoku Oskara W. podczas Przystanku Woodstock po raz kolejny pokazują, że każdy ma dzisiaj szansę na rozgrzeszenie, byle tylko znalazł odpowiedniego kapłana. A tych nie brakuje. W polskiej polityce wielką karierę robi dzisiaj fraza: to jest niedopuszczalne, niewłaściwe, ale... Jasne, że nie wolno bić, ale Miecugow sam sączył przez lata lewacki jad w „Szkle kontaktowym”, więc przyszła kryśka. Podobnie wcześniej w przypadku Władysława Bartoszewskiego: nie wypada buczać na kombatanta i politycznego więźnia stalinizmu, ale przecież pan Bartoszewski prowokował. Owszem, wymierzony w Litwinów transparent o chamach i panach podczas piłkarskiego meczu to rzecz głęboko oburzająca, ale przecież „kibice zawsze będą mieli stanowisko i zawsze będą chcieli się wypowiadać, powinniśmy to zaakceptować” – stwierdził jeden z „niepokornych” publicystów, a zresztą Litwini też prowokują. Może i Agnieszka Holland nie robi hagiograficznego filmu o generale Jaruzelskim i ta plotka ją krzywdzi, ale widocznie coś wcześniej musiało być w jej słowach i politycznej postawie, że wszyscy

w to uwierzyli i niech się Holland nad sobą zastanowi.

Słowem, my byśmy tego nie zrobili, nie powiedzieli i Miecugowa nie uderzyli, ale nic nie dzieje się bez przyczyny. A jeżeli jest przyczyna, to bardziej prostolinijne, szczerze osobowości, niemające tak silnych nerwów, wyrafinowania i kindersztuby jak prawicowi komentatorzy, nie wytrzymują. I w końcu toją albo krzyczą. Słowem, my jesteśmy jeszcze eleganccy, ale popatrzcie, co będzie, jak się naród naprawdę wkurzy, na przykład podczas szykowanych na jesień związkowych i radiomaryjnych demonstracji. Cokolwiek się zatem zdarzy – każdy właściwie akt przemocy i agresji – zostanie rozgrzeszone potem albo nawet przedtem, bo przecież wszyscy widzą, że za tej władzy jest nie do wytrzymania, a jej przedstawiciele i zwolennicy bez przerwy prowokują. Widać i czuć coraz bardziej jawne moralne przyzwolenie na gwałtowne słowa i czyny, jakie płynie ze strony zyskującej poparcie ideologicznej formacji. Słychać, że rewolucja nie będzie robiona w rękawiczkach, a ciosy, jakie spadły na biednego Miecugowa, przy tym akcie dziejowej sprawiedliwości będą się jawić jak niewinny żart. To już nie brzmi nawet jak głupota i hipokryzja, ale – tylko trochę zawoalowana – groźba.

O Oskarze W. czytaj także felieton Daniela Passenta – s. 102



Doradcy i asystenci

Kancelaria premiera Donalda Tuska zatrudnia 29 etatowych doradców i asystentów politycznych. W zeszłym tygodniu dołączyła do nich Małgorzat Woźniak, była rzeczniczka MSW jeszcze z czasów Jerzego Millera. Wszyscy pracują dla szefa rządu oraz ośmiu ministrów i sekretarzy stanu zatrudnionych w kancelarii przy Al. Ujazdowskich. 12 z nich nie skończyło jeszcze trzydziestki. Premier ma trzech głównych doradców: **Grzegorza Fortunę** (lat 59, na fot. z prawej), **Wojciecha Dudę** (55) i historyka Pawła Machcewicza (47), który współtworzył IPN, a dziś poza tym, że doradza Tuskowi, jest dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej.

Nieższych rangą doradców w KPRM pracuje 18, a asystentów – siedmiu. Wszyscy zatrudnieni w Kancelarii Premiera muszą być absolwentami wyższych uczelni i mieć doświadczenie zawodowe. O posadę asystenta mogą starać się ci, którzy przepracowali gdzieś dwa lata, na doradcę – pięć, a na szefa gabinetu politycznego i głównego doradcę – siedem. Wraz z odpowiedzialnością rosną też zarobki. Asystenci zarabiają od 2,5 tys. do 3,1 tys. zł brutto, doradcy 3,8–4,2 tys., główni doradcy premiera 6,6 tys. podstawy plus 2 tys. dodatku, a najwięcej szef gabinetu politycznego premiera – 8,5 tys. zł brutto. **(D.ąb.)**

POLITYKA trochę droższa

Uwaga czytelnicy! Polityka w kioskach za 5,90 zł. W prenumeracie tradycyjnej i cyfrowej bez zmian.

Od tego numeru cena POLITYKI będzie wynosić 5,90 zł. Dotychczasową cenę (5 zł) udawało nam się utrzymać na niezmiennym poziomie przez niemal 5 lat. Rosnące przez ten czas koszty wydawnicze (w tym kolportażu, papieru, podniesienie stawki VAT na prasę itd.) bilansowaliśmy przychodami reklamowymi. Niestety, od dwóch lat mamy do czynienia z załamaniem na rynku reklamy prasowej. Spadki realnych dochodów reklamowych sięgnęły 30–40 proc. Ten kryzys, będący echem stagnacji gospodarczej, a także głębokich zmian w świecie mediów i komunikacji rynkowej, dotyka wszystkich wydawców, w tym nas. Media zmuszone są nie tylko do zwalniania dziennikarzy, korespondentów, rezygnacji z kosztowniejszych bądź bardziej ryzykownych i ambitnych przedsięwzięć redakcyjnych, ale przede wszystkim – coraz łatwiej ulegają regułom dzisiejszego rynku reklamy, gdzie często zaciera się granice między przekazem dziennikarskim a komercyjnym. I nawet jeśli w tych trudnych czasach

nasze wydawnictwo – także dzięki bardzo drobiazgowej kontroli i redukcji kosztów – radzi sobie lepiej niż inni (wciąż jesteśmy numerem 1 pod względem sprzedaży), to chcąc zachować poziom tygodnika, jego niezależność, zdolność do dziennikarskiego opisu i analizy rzeczywistości, a zatem – w naszym przekonaniu – najgłębszy sens naszej misji, nie mamy zbyt wielkiego pola manewru. Cenę POLITYKI zmieniamy najmniej, jak to możliwe. Zachęcamy też przy tej okazji do korzystania z prenumeraty wydania drukowanego (do końca roku 4,50 zł za wydanie, dane kontaktowe na s. 114) i subskrypcji Polityki Cyfrowej. W przypadku Polityki Cyfrowej cena dostępu do bieżących i archiwalnych wydań POLITYKI oraz wszystkich naszych wydań specjalnych (Niezbędnik Inteligenta, Poradnik Psychologiczny, Pomocnik Historyczny) wynosi tylko 15,99 zł za miesiąc, a więc średnio poniżej 4 zł za wydanie.

REDAKCJA

Awantura o karty zgonu

Po głośnej sprawie, kiedy ratownicy stwierdzili śmierć 55-letniego mężczyzny w karetce w okolicach Siewierza odwieźli jego ciało na miejsce wypadku i tam pozostawili, minister zdrowia zapowiedział zmianę przepisów dotyczących stwierdzania zgonów. Szkoda, że dopiero po tak bulwersującym zdarzeniu Bartosz Arłukowicz zabiera głos. Już w czerwcu (POLITYKA 24) zwracaliśmy ministrowi uwagę, że przepisy regulujące stwierdzanie śmierci przez lekarzy są w Polsce anachroniczne, niespójne i zmuszają do łamania prawa, co wszystkim uchodzi na sucho. Resort zdrowia nie zareagował, choć zgłoszony postulat okazał się, jak widać, bardzo pilny.

Dlatego powtarzamy: trzeba wprowadzić w powiatach (wzorem innych krajów) stanowisko koronera, który będzie uprawniony do wyjaśniania okoliczności śmierci pod nieobecność lekarza, oraz przeformułować ustawę o ratownictwie, by wyraźnie określić w niej, kiedy lekarze pogotowia mogą wystawiać kartę zgonu. Obecna ustawa im tego zabrania, co jest często udręką dla rodzin, które bez takiego dokumentu nie mogą organizować pogrzebu. Wszystkiemu winne są nieprzejrzyste przepisy, które Ministerstwo Zdrowia planuje bezsukcesyjnie zmienić od co najmniej kilku lat. W 2010 r. Główny Inspektorat Sanitarny rozpoczął nawet prace nad nowelizacją stosownych ustaw, ale toczyły się tak ślamazarnie, że praktycznie ustały. Jak poinformował mnie rzecznik tej instytucji Jan Bondar: – *Zabrakło woli politycznej, aby coś w tej kwestii zmienić*. Jakby do tego potrzebna była polityka, a nie zdrowy rozsądek!

(PAW)

Jan Koza



© FPM

Nie palą się do urlopów

No i co zamierzacie? Z tym pytaniem zwrócono się do 22 tys. polskich młodych mam i kobiet w ciąży oraz ich partnerów w kilka tygodni po tym, jak Sejm – w czerwcu 2013 r. – jednogłośnie przyjął nowe przepisy, umożliwiające nie tylko wydłużenie płatnego urlopu macierzyńskiego do roku, ale też podzielenie się nim z ojcem dziecka. Jak wynika z badań (Millward Brown na zlecenie marki Bebiłon – żywność dla dzieci), po stronie rodziców nie ma aż takiego entuzjazmu, jakiego można by się spodziewać (i jaki towarzyszył posłom). Przede wszystkim co piąta mama okazała się bezrobotna. Część jeśli pracuje, to na umowach-zleceniach. Wiele więc potencjalnie zainteresowanych albo nie ma jak z nowego prawa skorzystać, albo boi się, że siedząc przy dziecku zbyt długo, tylko utrudni sobie uzyskanie stałej umowy o pracę. 18 proc.

obawia się, że po roku powrót do pracy będzie trudniejszy niż po krótszej przerwie. Toteż wśród kobiet, które już urodziły, tych zdecydowanych, by skorzystać z rocznej przerwy, jest zaledwie 30 proc., a wśród tych jeszcze w ciąży – 56 proc. Część się waha, ale co druga mama i co piąta przyszła mama wykluczyły tę możliwość.

Zaledwie 4 proc. kobiet ma twarde zamiar dzielić się urlopem z partnerem. Część i tu się waha, ale 59 proc. już wie, że nie skorzystają. Powód? Pieniądze. W Polsce przeważnie to tata lepiej zarabia od mamy. Niebagatelne znaczenie mają też stereotypy: ojciec przy pieluchach i garnkach jest wciąż sensacją dla sąsiadów czy rodziny. Ponadto mężczyźni dręczą ta sama zmorena co i kobiety: czy nie stracą na atrakcyjności dla swoich pracodawców? Co trzeci ojciec deklaruje co prawda, że będzie dzielił się z partnerką obowiązkami przy dziecku, gdy ona wróci do pracy, ale aż 70 proc. ojców wyklucza, by w tym celu mieli brać urlop rodzicielski.

Młodzi rodzice od swoich pracodawców oczekiwali nie tyle wolnego, ile wsparcia. Na przykład aż 60 proc. spośród nich chciałoby dodatków na żłobek lub nianię albo i żłobka przyzakładowego (tylko 2 proc. rodziców ma szansę z takiej instytucji korzystać).

Badania ujawniły jeszcze jedną niepokojącą prawidłowość: tylko jedna czwarta kobiet wraca do pracy po urodzeniu dziecka. Po pierwsze, potwierdza to ich obawy – pracodawcy nie czekają, a po drugie, „nie ma co zrobić z dzieckiem”. Wydłużony urlop miał ułatwić kobietom godzenie macierzyństwa z karierą zawodową. Czyżby – jak obawiało się wiele środowisk kobiecych – miał przynieść efekt odwrotny do zamierzonego i stać się tej kariery standardowym, końcowym epizodem? (KS, EW)



© JAN KOZA

Kto jest lepszym demokratą

Prezydent Komorowski zaatakował demokrację – na taki pilny temat, w dzień największego sierpniowego upału, zwołał konferencję prasową poseł Patryk Jaki, młody rzecznik młodego ugrupowania Solidarna Polska. Można by się zaniepokoić, że w trzecią rocznicę zaprzysiężenia na urząd Bronisław Komorowski atakuje demokrację, która go przecież do władzy wyniosła, gdyby nie nieznośna przewidywalność sejmowych konferencji prasowych Solidarnej Polski, najbardziej w tej domenie pracowitej. Schemat jest bowiem ten sam: zagląda się do gazet, włącza poranne radiowe i telewizyjne programy informacyjne i już wiadomo, komu przyłożyć.

Polityka toczy się w więcej niż letnim nastroju. Gdyby nie gry komputerowe, samotne spacerki Jarosława Gowina i od czasu do czasu jakaś sensacja wygłoszona przez Jarosława Kaczyńskiego, nie byłoby tematów do konferencji prasowych, czyli do partyjnego istnienia. Prezydent więc sytuację uratował. Nie tylko powiedział, że na referendum w sprawie odwołania prezydent Warszawy nie pójdzie, ale przypomniał, że zamierza zaproponować takie zmiany ustawowe, aby referenda w kwestiach personalnych miały wyższy próg koniecznej dla ich ważności frekwencji.

Prezydent zapowiadając, że nie wystąpi przeciwko Hannie Gronkiewicz-Waltz, zachował się racjonalnie, bo nie przystoi głowie państwa uczestniczenie w politycznej awanturze (zresztą nieobecność przy urnie też jest formą głosowania, bo to nie wybory, gdzie frekwencja nie ma rozstrzygającego znaczenia). Już wcześniej dostrzegł problem nagłego odwoływania, tuż przed kolejnymi wyborami, wybranych bezpośrednio przez obywateli wójtów, burmistrzów i prezydentów, i od pewnego czasu promuje zmiany mające nieco zmniejszyć tę polityczną gorączkę. Bronisław Komorowski nie udaje, że każde referendum to święto demokracji i budowa społeczeństwa obywatelskiego. Społeczeństwo obywatelskie buduje się przede wszystkim w działaniu pozytywnym, a nie tylko w destrukcji, co stało się naszą specjalnością.

Rzecznikowi Solidarnej Polski łatwiej opowiadać o zagrożeniu demokracji przez prezydenta niż o podeptaniu podstawowych zasad państwa prawa przez własnego szefa, b. ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę. A właśnie o tym by prawić należało, bo IV RP w całej krasie znów nam o sobie przypominała.

Oto wrocławski Sąd Okręgowy uniewinnił właśnie Andrzeja Kratiuka, w przeszłości prezesa fundacji Jolanty Kwaśniewskiej, oraz siedem innych osób od zarzutów nie-



prawidłowości przy sprzedaży spółek ubezpieczeniowych, co określano jako pranie brudnych pieniędzy. Uniewinnił – to mało powiedziane, sąd znów prokuraturę zmiażdżył i to do tego stopnia, że prowadzący tę sprawę przedstawiciel katowickiej apelacji (ukochana prokuratura b. ministra Ziobry) nie pofatygował się już nawet, by wygłosić końcową mowę oskarżycielską. Najwyraźniej wiedział, czym to się skończy. Oczywiście, mecenas Kratiuk nie był celem prokuratorskich poszukiwań, to było śledztwo „trałowe”, w trakcie którego szukano haków na państwa Kwaśniewskich, Oleksych, Włodzimierza Cimoszewicza, a nawet Marka Belkę, czyli na tzw. układ lewicowy, którego wykrzyk było jednym z ważnych celów IV RP. Wprawdzie Ziobro dziś już nie jest w PIS i jedynie aplikuje o ewentualną koalicję z partią Jarosława Kaczyńskiego (jeśli uda mu się przekroczyć wyborczy próg, na co widoki ma marne), ale wówczas też nie był samodzielnym inicjatorem poszukiwań układu. Był gorliwym wykonawcą, który miał po prostu „układ” swemu szefowi dostarczyć.

Dziś gorliwych wykonawców też nie brakuje, chociaż w opozycji metody działania są inne niż u władzy. Mariusz Kamiński trwa przyczajony, by objąć CBA, a poseł Tomasz Kaczmarek, znany jako agent Tomek, zasypuje prokuraturę doniesieniami o przestępstwach przedstawicieli najwyższych władz. Ostatnio celem agenta Tomka został minister ochrony środowiska Marcin Korolec, który w spisku z premierem i przedstawicielami przynajmniej dwóch setek różnych rządów postanowił zakłócić marsz niepodległości 11 listopada, organizując w tym czasie na Stadionie Narodowym międzynarodowy szczyt klimatyczny.

Spisek wykrył Jarosław Kaczyński, a gorliwy agent Tomek natychmiast do prokuratury pobiegł. Pewnie zacznie się postępowanie sprawdzające, bo formalności musi stać się zadość, i kto wie, kiedy rzecz cała się skończy. Sprawa Kratiuka zaczęła się w 2006 r., oczywiście od efektywnego zatrzymania podejrzanego, który nigdy podejrzanym być nie powinien, przetrwała kilku prokuratorów generalnych i dopiero teraz dobiegła końca. Jeśli prokuratura nie złoży zażalenia.

Stanowczo złą paszę ma prokurator generalny Andrzej Seremet, bo wprawdzie nie za jego czasów te partackie śledztwa (np. sprawa morderstwa gen. Papąły) czy polityczne zabawy prokuratorów się zaczynały, ale teraz się kończą i co wyrok, to uniewinnienie, co prestiżowa sprawa – to porażka. Tłumaczenia, że on nic nie może, przestają wystarczać. Opinia publiczna nie oczekuje już zapowiedzi, że będzie nowa ustawa o prokuraturze i wtedy będzie lepiej. Oczekuje także informacji, jakie konsekwencje ponieśli ci, którzy tak się przed sądami skompromitowali. To nie były ich prywatne porażki, ale klęska jednego z ważnych ogniw władzy, strażnika praworządności, bo tym w istocie powinna być prokuratura. I nie jest prawdą, że w obecnych warunkach prawnych nic nie dało się i nadal nie da się zrobić.

Jeśli zaś chodzi o atak Bronisława Komorowskiego na demokrację, trudno nie zauważyć, że akurat pod rządami tego prezydenta demokracja ma się zupełnie dobrze, a prezydent znalazł własny styl wymagającej kohabitacji z rządem i spokojnego, otwartego sprawowania urzędu. Zwykło się przyjmować, że dwa ostatnie lata prezydentury to już tylko walka o reelekcję i trudno nie dostrzec wielkiej aktywności głowy państwa w terenie, wśród ludzi. Rzecz jednak w tym, że owa aktywność u Bronisława Komorowskiego jest tak naturalna, że nawet przeciwnikom trudno cokolwiek krytykować. Złośliwościami zaś prezydent zwyczajnie się nie przejmuje. I chciałoby się powiedzieć – panie prezydencie, ma pan rację.

26 416 osób wpisało się dotąd do Centralnego Rejestru Sprzeciwu, gromadzącego dane osób, które nie zgadzają się na przeszczep swoich organów po śmierci. Najwięcej wniosków, bo aż ponad tysiąc (trzy razy więcej niż przeciętnie), wpłynęło w 2007 r. po zamieszczeniu wokół transplantologii, które swoją

wypowiedzią na temat doktora G. wywołał ówczesny minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. W międzyczasie 244 osoby wycofały swoje sprzeciwu z rejestru. Od kilku lat powoli, ale regularnie rośnie też liczba dawców. W zeszłym roku na milion Polaków było 16 dawców. Rok wcześniej było ich 14 na milion. (JULI)



© REUTERS/FORUM

Nie ma chemii

Przebierańcy w maskach Baracka Obamy, Władimira Putina, premiera Japonii Shinzo Abe, którzy pojawili się w Irlandii Płn. podczas szczytu G8.

Zupełnie przypadkowo 8 sierpnia, czyli dzień po odwołaniu przez **Baracka Obamę** wrześniego spotkania z **Władimirem Putinem** (bo Rosja przycięła Edwarda Snowdena, zdrając państwowych sekretów USA), Kreml poinformował o telegramie, jaki prezydent Rosji wysłał do George'a W. Busha. Były prezydent USA przeszedł w ubiegłym tygodniu operację serca i Putin – w pełnych zażyłości słowach – życzył mu szybkiego powrotu do zdrowia. A, jak odnotowano, 4 sierpnia nie złożył Obamie nawet życzeń urodzinowych.

Bush i Putin, mimo uczuciowych dołków (wojna w Gruzji w 2008 r.), przypadli sobie do gustu. Z Obamą chemii nie ma. Podczas czerwcowego szczytu G8 w Irlandii Północnej kilka razy zaiskrzyło. Putin robił Obamie publiczne wykłady, a ten odwdzięczał się władcy

Kremla lodowatym spojrzeniem. Poza geopolityczną otoczką relacje osobiste między rosyjskimi i amerykańskimi liderami miały zawsze duże znaczenie. Tajemnicą rangi państwowej pozostanie, ile litrów alkoholu wypili razem Bill Clinton i Borys Jelcyn (wskaźnikiem mógł być czasem kolor nosa Amerykanina), niemniej ówczesne relacje między oboma krajami układały się przyzwoicie, nawet podczas kryzysu na Bałkanach. Pozytywny kontakt byli w stanie nawiązać nawet politycy z tak różnych stajni, jak Ronald Reagan i Michaił Gorbaczow. Według ekspertów, powody dzisiejszych dąsów są prozaiczne: obie strony, a szczególnie Amerykanie, nie widzą specjalnej potrzeby naprawiania stosunków. Dla USA o wiele ważniejsze są kontakty z Chinami.



© CTK/PAP

Prezydent jest głodny

Stało się tradycją, że głowa państwa czeskiego co roku w sierpniu bierze udział w eskapadzie, połączonej z wejściem na najwyższy szczyt kraju – Śnieżkę w Karkonoszach. Prezydent **Miloš Zeman**, w przeciwieństwie do poprzedników, na górę nie wejdzie, tylko zostanie zawieszony autem. Ale to jeszcze nic: lokalna restauracja Modrzin już zapowiedziała, że prezydenta z jego świtą u siebie nie przyjmie i nie nakarmi z powodów politycznych. „Nie podoba się nam to, co on robi” – wyjaśniła kierowniczka restauracji Anežka Pollova.

Obecny kryzys polityczny w Czechach toczy się pod dyktando Zemana. Wykorzystując skandal korupcyjno-obyczajowy, doprowadził do upadku poprzedniego rządu i odmówił prawicowej koalicji mianowania jej kandydatki

na premiera. Zamiast tego zbudował „rząd fachowców”, przez prasę uznawany w zasadzie za gabinet Zemana. Premier Jiří Rusnok gra w nim rolę wykonawcy poleceń Hradu. Czeskie media grzmą, że to pełzający zamach stanu, a przynajmniej strukturalna zmiana systemu politycznego. Tradycja i konstytucja władzę powierzyły bowiem premierowi, a głowa państwa – przynajmniej w założeniu – miała pozostawać ponad bieżącą polityką. To, co robi Zeman, porównuje się do działań generała de Gaulle'a, który we Francji wprowadził system prezydentki. Czarnowidze twierdzą, że jest jeszcze gorzej i że demokracja w wersji zemanowskiej będzie przypominała to, co na Węgrzech zrobił Viktor Orbán. Z tą różnicą, że Orbán jest wysportowany i chodzi po górach.

Dzieci, które nie istnieją

Przez oficjalne chińskie media prze-
mknęła wiadomość, że po 24 latach
funkcjonowania zostanie zrewidowana
polityka jednego dziecka w rodzinie.
Pewnie zmiany będą bardzo ostrożne,
powolne i wprowadzane lokalnie (jak
dzisiejszy przepis, że tylko w Szanghaju
małżeństwom mającym jedynaków przy-
sługuje przydział na drugie dziecko). Jako
remanent po tamtej epoce ujawnił się
w blogosferze problem tzw. prywatnych
dzieci, które są, ale dla państwa ich nie
ma. Nigdy nie zostały zapisane w oficjal-
nych księgach, nie dostały dokumentów
tożsamości. Nie mają żadnych praw.

Takim prywatnym dzieckiem jest 20-let-
nia Li Xue z Pekinu. Urodziła się jako
druga córka w rodzinie (z powodów zdro-
wotnych matka nie dokonała zalecanej
aborcji), więc zgodnie z przepisami lojalne
biuro kontroli urodzin nałożyło na nich

karę. Pieniądzy nie udało się zebrać, więc
zgodnie z zaleceniami odmówiono re-
jestracji małej Xue, a rodziców usunięto
z pracy. Odtąd żyła dziwnym życiem: nie
została zaszczepiona, bo nie przysługują
jej świadczenia medyczne, uczyła się
w domu z podręczników starszej siostry.
Nie ma mowy o studiach, jeździe koleją
(trzeba pokazać dokument w kasie), o mał-
żeństwie ani o żadnej oficjalnej pracy.

Podczas powszechnego spisu ludności
w 2010 r. po raz pierwszy policzono
prywatne dzieci – i wyszło, że jest ich
aż 1,3 mln. Przy okazji ogłoszono coś w ro-
dzaju amnestii i zgodzono się, aby powró-
ciły na łono państwa. Ale biurokratyczne
starania, jeśli niewspierane łapówkami,
trwają bardzo długo i Xue nadal nie ma
dokumentów (swoją gehennę opisuje
na blogu). Lokalne władze nie bardzo wi-
dzą, w czym problem, przecież jej nie ma.

Szwajcarskie getta

Imigrantów obowiązu-
je zakaz przebywania
m.in. na placach zabaw,
w miejscowym basenie,
w kościele. Położone nie-
daleko Zurychu miastecz-
ko Bremgarten niemal
południowoafrykańskim
zwyczajem wyznaczyło
w sumie 32 takie „strefy
zamknięte”. Nie mają tam
prawa wstępu imigranci,
którzy w lokalnym ośrodku
oczekują na przyznanie
azylu. Według burmistrza
Bremgarten, zagrażają oni

szczególnie najmłodszym,
rozprowadzając narkotyki
i dopuszczając się aktów
przemocy. Do podobnego
rozwiązania przymierza się
kilką sąsiednich miejsco-
wości – za wiedzą i popar-
ciem Federalnego Biura
Imigracyjnego, które samo
zapropozowało wyznacze-
nie zamkniętych stref.

W czerwcowym refe-
rendum większość
Szwajcarów zaakcep-
towało zaostrzenie linii
wobec imigrantów. Mimo

to Szwajcaria wciąż jak
magnes przyciąga przy-
byszów. Jest ich obecnie
około 50 tys., z czego
22 tys. stara się o azyl.
Z braku wystarczającej
liczby miejsc w ośrodkach
przejściowych Szwajcarzy
remontują stare górskie
bunkry i tam umieszczają
oczekujących na azyl, czę-
sto na zupełnym odludziu,
co dosłownie i w przenośni
wpisuje się w coraz rady-
kalniejszy stosunek Szwaj-
carów do imigracji.

Pedofil niezgody

Czego nie udało się Arabskiej Wiośnie,
tego dokonał jeden wążacz z niejasną
przeszłością. Gdy w Rabacie wybuchły
niedawno zamieszki, oddziały prewencji za-
reagowały gwałtownie, ostrzeliwując tłum
gazem łzawiącym i brutalnie bijąc zgroma-
dzonych. Wściekłość Marokańczyków wy-
wołała decyzja króla **Muhammada VI**,
który chciał zrobić prezent hiszpańskiemu
monarsze Ju-
anowi Carlosowi i ułaskawił
48 więźniów
z hiszpańskim
obywatelstwem.
Szybko okazało
się, że był wśród
nich Daniel
Galván Viña,
pedofil, który
za wykorzysty-
wanie seksualne
nieletnich dostał
30 lat więzienia.



Po wyjściu z za krat natychmiast wsiadł
na prom do Hiszpanii i zniknął.

Maroko nie przeżywało wcześniej fali
protestów, bo w kraju panuje względny
(jak na ten region) liberalizm. Pod żadnym
pozorem nie wolno jedynie krytykować
rodziny królewskiej. Teraz Muhammad VI
po raz pierwszy publicznie usprawiedliwił
się, twierdząc, że listę więźniów do ułaska-
wienia mu podsunęto. W niecodziennym
goście spotkał się z rodzinami molestowa-
nych dzieci i w końcu cofnął decyzję o ułaska-
wieniu pedofila. Hiszpańska policja już
go zresztą zatrzymała, ale oba kraje będą
miały problem. Zatrzymany w rzeczywisto-
ści jest Irakijczykiem, który w latach 80. zde-
zerterował z tamtejszej armii, a potem pra-
cował dla hiszpańskiego wywiadu i zgodnie
z prawem nie podlega ekstradycji.



© REUTERS/FORUM

Izrael potęgą gazową

Po kilkunastu zamachach Al-Kaidy i beduińskich ugrupowań terrory-
stycznych na gazociąg z Egiptu do Izraela władze w Kairze anulowały
kontrakt na dostawy gazu, gwarantowany umową pokojową zawartą
między obu krajami. Izrael przyjął to jednostronne zerwanie raczej bez
ból głowy. Od marca tego roku eksploatuje bowiem ogromne złoża
gazu, 80 km od wybrzeży, i już zdołał całkowicie uniezależnić się od im-
portu. Podmorskie złoża gazu sięgają aż do cypryjskich wód terytorial-
nych. Cypr, pogrążony w kryzysie i bez środków na takie inwestycje,
prowadzi intensywne rokowania z firmami kanadyjskimi oraz izraelskim
koncernem paliwowym Delek. Działania te spotkały się z ostrym sprze-
ciwem Cypru Północnego, który – wspierany przez Ankarę – również
rości sobie prawa do nieodkrytych jeszcze podmorskich pokładów
gazu. Istnieje nawet pogląd, że wspólny gaz ułatwiłby rozwiązanie pro-
blemu podzielonej wyspy, ale na razie nic na to nie wskazuje. Podobne
roszczenia, wysunięte przez Hezbollah w imieniu Libanu, zostały odrzu-
cone przez ONZ, który orzekł, iż pola gazowe Tamar znajdują się poza
wodami terytorialnymi Libanu.



Niezauważony

OLA CICHOWŁAS **Z LONDYNU**, EWA WILK

O tragedii **Daniela Pełki**, czterolatka pobitego, zagłodzonego i zamordowanego przez matkę i ojczyma w Coventry, donosiły media całej Europy. Wstrząsnęła ona Wielką Brytanią. Czy wpłynie na obraz coraz liczniejszej Polonii na Wyspach?

Brytyjskie gazety – i tabloidy, i te opiniotwórcze – nie cofnęły się przed szokującymi nagłówkami: „Chłopiec zagłodzony przez rodziców wyglądał jak ofiara z obozu koncentracyjnego” („The Mirror”), „Niewinne dziecko podbiega do matki, która go zamorduje”, „Matka z ojcem nie okazali skruchy, gdy ogłoszono wyrok 30 lat więzienia” („The Independent”).

Tak właśnie brzmiał wyrok: co najmniej 30 lat więzienia za zabójstwo i nieopięte okrucieństwo, które doprowadziło do śmierci chłopca w marcu 2012 r. Daniel ważył niewiele ponad 10 kg, kiedy zmarł w angielskim mieście Coventry.

Nigdy dokładnie się nie dowiemy, jak wyglądało znęcanie się nad tym dzieckiem, „akcja okrucieństwa” – jak nazwał to sąd. Chłopiec musiał być przerażony, mówiła w uzasadnieniu wyroku sędzia Justice Cox, dodając, że system kar był specjalnie skonstruowany tak, aby Daniela poniżyć, że był on „ofiara chronicznego głodzenia”.

Kłęska wszystkich

Od Londynu po szkockie Aberdeen polska wspólnota patrzyła z przerażeniem na fotografie uśmiechającego się chłopczyka w czerwonym sweterku, które pojawiły się we wszystkich gazetach, na niezliczonych stronach internetowych, w programach brytyjskiej telewizji.

Towarzyszyl temu ten sam rodzaj emocji, jak rok wcześniej, kiedy w sierpniu 2012 r. Damian Rzeszowski zamordował żonę, dwójkę dzieci, Polaka i dwóch Anglików na wyspie Jersey. Jednak sprawa Daniela Pełki wstrząsnęła całym krajem dużo bardziej.

Maciej Woroch, korespondent TVN, który uważnie obserwował proces, mówi, że wstrząs wywołały szczegóły ujawnione w czasie procesu: bicie i głodzenie chłopca, przymusowe karmienie go solą, nękanie psychiczne czy wreszcie coś, co sędzia nazwała zimną kąpielą, czyli przytapienie w wannie do utraty przytomności. – *Wszystkim, obdarzonym choć odrobiną empatii, to się po prostu nie mieściło w głowie. Wszyscy szukali odpowiedzi na pytanie: jak matka mogła tak traktować dziecko?* – mówi Woroch.

Lokalne media w Birmingham i Coventry (tam mieszkała „rodzina”) wyliczyły, że nauczyciele, opieka społeczna, lekarze, którzy badali chłopca, mieli 26 okazji, by zauważyć, że dzieje się coś złego, i zareagować. Jediną osobą, która cokolwiek zrobiła, była nauczycielka Daniela. Zobaczywszy siniaki na ciele chłopca, posłała do dyrektora szkoły, ten jednak odradził wszczynanie alarmu. Zawiodły wszelkie instytucje, które mogły przyjść z pomocą. Wszyscy, wydaje się, zbagatelizowali cierpienie Daniela. Zlekceważono fakt, że chłopiec szukał czegośkolwiek do jedzenia w śmieciach i podkrażał żywność innym uczniom, że jest tragicznie chudy. Dyrektor szkoły zadzwonił nawet w tej sprawie do lekarza, ale ten przepisał Danielowi tylko tabletki odżywcze i witaminy. Ktoś z kolei uwierzył matce chłopca, która tłumaczyła jego niedowagę rzadkimi zaburzeniami odżywiania i przestrzegająca, by go nie dokarmiać.

Szczególnie złośliwe komentarze prasowe pojawiły się, gdy wyszło na jaw, że dyrektor szkoły został przeniesiony do innej placówki na równorzędne stanowisko – wielu odczytało to jako próbę ucieczki przed niewygodnymi pytaniami, odpowiedzialnością, konsekwencjami.

Brytyjskie media skupiły się właśnie na tym – na niepokojącym braku reakcji i niekompetencji służb socjalnych. Kiedy poseł do parlamentu miasta Coventry Geoffrey Robinson wygłosił smutną opinię, że „biurokracja zwyciężyła nad zdrowym rozsądkiem, miłością i współczuciem”, rozpętała się dyskusja na skalę narodową o skandalicznej niewydolności systemu pomocy socjalnej. Powstała internetowa petycja do premiera Camerona, wnosząca

o przyjęcie Prawa Daniela, czyli uznania za przestępstwo takiego postępowania, gdy ktoś wie lub choćby tylko podejrzewa przemoc domową, a nie zgłosi tego policji lub służbom socjalnym.

Zdaniem Macieja Worocha, angielski system pomocy społecznej jest dobry, ale dopiero wtedy, kiedy kogoś zauważy i niejako wepchnie w tryby maszyny pomocy. – *Jednak i wtedy – tę opinię podziela wielu moich brytyjskich rozmówców – przytłoczenie liczbą koszmarów, którymi trzeba się zająć, wielu pracowników może znieczulać, usypiać ich czujność, oteępiać zmysł obserwacji. Do tego dochodzi jeszcze cały system odpowiedzialności za przekroczenie kompetencji, naruszenie prywatności, obawa przed oskarżeniem o zbyt pochopne rzucanie pomówień... Ale tak chyba jest wszędzie.*

Sprawa Daniela, twierdzi polski dziennikarz, jest jak kubeł zimnej wody na głowy wszystkich, bo w tej kwestii każdy może zadać sobie pytania. Nie tylko, gdzie były służby? Ale też, co sam zrobiłbym w takiej sytuacji?

Po prostu dziecko z Coventry

Patrząc na tę historię z polskiej perspektywy, nie sposób nie zadać sobie pytania o to, jakie znaczenie dla brytyjskiej opinii publicznej miał fakt, że było to dziecko polskich emigrantów. A gdyby taka tragedia wydarzyła się w Polsce, w rodzinie jakichkolwiek emigrantów, jakiegokolwiek mniejszości? Jak zareagowałyby polskie media, a jak karmiące się uprzedzeniami rozmaite fora internetowe? Wyobraźnia podpowiada smutne scenariusze.

Brytyjscy dziennikarze z trudem wymawiali nazwiska Magdaleny Ł., matki chłopca, i Mariusza K., ojczyma. – *Alle sprawę pochodzenia rodziców załatwiali jednym zdaniem, był to kompletnie wątek uboczny historii* – twierdzi Grzegorz Małkiewicz, redaktor polskiego miesięcznika w Londynie „Nowy Czas”. Nie przypomina sobie, by od ujawnienia śmierci chłopca odbyła się jakakolwiek medialna lub choćby „uliczna” dyskusja w kwestii ogromnej polskiej emigracji na Wyspach.

Maciej Woroch ma podobne spostrzeżenia. – *Wielu Brytyjczyków w ogóle nie zdawało sobie sprawy z tego, że cała ta wstrząsająca historia dotyczy polskiej rodziny. W Birmingham, widząc, że jestem z mediów, zaczepiano mnie z prośbą o odpowiedzi na pytania dotyczące przebiegu procesu. Kiedy wspominałem, że to Polacy, wiele osób było szczerze zdziwionych. Ale też jedna z moich znajomych, pracująca w tzw. charity, czyli opiece społecznej, zwierzała mi się, że od czasu procesu jej angielscy przełożeni stali się jakby przeczuleni na punkcie obco-krajowców z problemami. Rzecz jednak raczej nie w uprzedzeniach, ale w obawie przed konsekwencjami zaniedbań.*

„Daily Mail” zauważył, że na forach internetowych brytyjskich mediów poza nielicznymi przypadkami nikt nie łączył śmierci chłopca z Polską, Polakami, którzy jako imigranci z „gorszego świata” mieliby szczególne skłonności do nieludzkich zachowań.

To, że nieomal nikt publicznie nie eksponuje narodowości Daniela, wynika w jakiejś mierze z poprawności politycznej, opanowanej do perfekcji przez brytyjskie media. Ale też – jak lubią podkreślać Polacy z City – owa poprawność głęboko weszła w brytyjską mentalność wraz z tym, jak w tkankę społeczną przez kolejne dziesięciolecia wgrzały się kolejne fale zwykle znacznie bardziej egzotycznych niż Polacy przybyszów. Polacy z londyńskich biurowców twierdzą, że ich brytyjskim współpracownikom jest głęboko obojętne, czy mają do czynienia z kimś o pakistańskim, łotewskim czy polskim rodowodzie; można tym wzbudzić najwyżej życzliwe zainteresowanie. Atmosfera multi kulti, szacunek dla odmiennego kulturowego rodowodu jest ►

► brytyjską rzeczywistością, a nie tylko szlachetnym postulat. Oczywiście nastroje ksenofobiczne, antyemigranckie i tam – jak w każdym europejskim społeczeństwie – tlą się, znajdując od czasu do czasu ujście choćby w kibicowskich zadymach, poza tym prowincja nie jest tak otwarta jak Londyn. Szczęśliwie mały Daniel w świadomości społecznej okazał się zarówno Polakiem, jak i Brytyjczykiem. Chłopiec urodził się i zmarł w Coventry, gdzie obecnie mieszka 30 tys. Polaków.

Jeżeli 1989 r. oznaczał dla Polski rewolucję polityczną, to 2004 r. był niewątpliwie rewolucją migracyjną, a żaden kraj w Unii Europejskiej nie odczuł jej efektów tak jak Wielka Brytania. Brytyjski spis ludności 2011 r. wykazał to, co dawalo się już wyraźnie słyszeć: język polski stał się bardziej rozpowszechniony niż pendźebi i urdu, języki tradycyjnej emigracji pochodzącej z dawnego imperium. Trudno znaleźć w brytyjskiej historii inną grupę emigracyjną, która tak szybko i rozlegle by się na Wyspach zakorzeniła.

Emigracja zmywaka

Ale też tragiczna historia Daniela pokazuje, jak koślawe i pozorne może być to zakorzenienie. Każde zdarzenie ekstremalne to rodzaj soczewki, skupiającej problemy najnowszej polskiej fali emigracyjnej na Wyspy. W porównaniu z poprzednimi – powojenną i solidarnościową, przede wszystkim politycznymi i niszowymi – jej skala jest odczuwalna w każdym środowisku zawodowym.

Pojechała tam tym razem reprezentacja całego polskiego społeczeństwa. Wszyscy przywieźli jakieś bagaże. Nie zawsze była w nich wiedza, kwalifikacje, pracowitość. Niektórzy zabrali za Kanał problemy, patologie, nieprzystosowanie społeczne, nieumiejętność życia. Są i tacy, którzy uciekli tam przed odpowiedzialnością, przed karą, przed zobowiązaniami. Kiedy czyta się historię matki, biologicznego ojca i ojczyma Daniela, to nieodparcie nasuwa się wrażenie, że skądś je znamy, że słyszeliśmy takich opowieści setki. Magdalena wyjeżdża z Łodzi razem z chłopakiem Erykiem w 2006 r. Na zmywak. Potem sprząta, potem sortuje paczki na pocztę. Rodzi się Daniel. Magda pije. Potem Eryk wyjeżdża do Polski, bo ona jest chorobliwie zazdrosna. Potem ona poznaje Mariusza. Żyją od imprezy do imprezy, on kradnie, wdaje się w bijatki, awanturuje. Biorą narkotyki. Co prawda on podpada policji, trafia nawet kilkakrotnie do aresztu, ale brytyjski system nie wie, że w Polsce jest ścigany za ciężkie pobicie kolegi z wojska, a własna rodzina widzi w nim sadystę.

To wszystko kłębi się, narasta, zapętla w psychotyczny węzeł. W Coventry mieszka co prawda siostra Magdy, która powie potem, że ma wyrzuty sumienia, że mogła reagować. Co prawda gdzieś na świecie żyje ojciec Daniela, ale przed kamerami będzie w stanie wygłosić tylko uwagi o niewydolności brytyjskich służb socjalnych. Co prawda w Łodzi jest matka Magdy, ale zrozumie tylko tyle, że emigracja córkę zmieniła, wcześniej taka nie była.

Cokolwiek powiedzieć o przychylności brytyjskiego społeczeństwa, życie na emigracji – zwłaszcza gdy początkowo nie zna się języka, nie rozumie sąsiadów, wykonuje najprostsze fizyczne zajęcia – oznacza wyobcowanie. Brakuje naturalnego monitoringu babć, matek, ciotek, sąsiadów. Systemu obyczajowej kontroli – uciążliwego, ale sklejającego człowieka ze społeczeństwem.

Przypadki emigracyjnego wykołajenia nie zmieniają oczywiście faktu, że większość polskich imigrantów wie dzie tam godne życie, najczęściej godziwsze materialnie niż w Polsce. Pchnęła ich na Wyspy nadzieja na pracę, na ekonomiczny awans. Wielu skłonił do wyjazdu funkcjonujący w Polsce ste-

reotyp, że brytyjski system państwowej opieki dla młodych rodzin jest niezwykle korzystny. To tylko do pewnego stopnia prawda. – *Jest on dosyć dobrze rozwinięty, ale szczególnie zyskuje na tle niewydolności polskiego systemu* – twierdzi Grzegorz Małkiewicz. Owszem, młode Polki rodzą w Wielkiej Brytanii teraz nawet chętniej niż w Polsce (przychodzi tam na świat blisko 20 tys. dzieci o polskich korzeniach rocznie), chwając opiekę położniczą, bezpłatne leki, długie urlopy, wysokie zasiłki. Jednak opinia, że Polacy przyjeżdżają, aby wyciągać zasiłki, pojawiała się tu tylko w najostrzejszych czasach kryzysu.

Prawicowe media i politycy nieudolnie próbowali stworzyć portret Polaka nadużywającego dobrodziejstwa systemu brytyjskiego. – *Polacy znacznie więcej wkładają do brytyjskiej kasy, płacąc podatki, niż z niej biorą. Nie korzystają nawet z całej pomocy socjalnej, jaka by im przysługiwała* – twierdzi Elżbieta Vine, przewodnicząca Fundacji Pomocy Polakom w Wielkiej Brytanii.

Najbardziej kontrowersyjną kwestią jest to, że tutejsze prawo nie wymaga, aby dziecko mieszkało w Wielkiej Brytanii, żeby dostawać zapomogi. Zaś w Polsce mieszka – jak się szacuje – nawet 100 tys. dzieci, których rodzice nierzadko właściwie na stałe wyprowadzili się do Wielkiej Brytanii. Wielu z nich pobiera zasiłki na swoje potomstwo. – *To nadużycie wynika z obowiązującego przepisu. Polacy za to nie odpowiadają* – tłumaczy Grzegorz Małkiewicz.

Elżbieta Vine mówi, że podstawową, nierozwiązaną kwestią jest bezdomność wśród emigrantów. W związku z nowym prawem brytyjskim, wchodzącym w życie w przyszłym roku, odcinane będą stopniowo również przywileje rodzinne.

– *Na przykład polskie rodziny będą mogły się starać o mieszkanie socjalne dopiero po pięciu latach pobytu na Wyspach* – tłumaczy.

Wolny przepływ problemów

W 2014 r. Polska będzie obchodzić dziesiątą rocznicę wolnego ruchu granicznego na kontynencie. Swobodny przepływ ludzi jest z całą pewnością wielką zdobyczą Unii, ale pociąga on za sobą również przepływ problemów. Brytyjczycy martwią się dziś tym samym, czym i my się martwimy w kontekście patologii społecznych. I oni, i my mamy rozmaite systemy – edukacji, pomocy społecznej, opieki medycznej – ale te systemy wzajemnie się nie widzą. Tysiące tragedii biorą się stąd, że lekarz nie porozmawiał z nauczycielem, że pomoc społeczna nie wiedziała, że policja nie miała znikąd sygnału. Być może nadszedł czas, by owe struktury widziały się nie tylko w każdym kraju z osobna, ale też kontaktowały ze sobą wzajemnie. Gdybanie ma zwykle wątpliwy sens, ale trudno oprzeć się choćby takiemu pytaniu: Czy doszłoby do tej tragedii, gdyby brytyjska policja miała od polskiej informację o kryminalnej przeszłości Mariusza K.?

W Polsce nie istnieje żaden oficjalny program interwencji, informacji, pomocy dla wciąż ogromnej liczby osób, która wyjeżdża w ciemno na Wyspy. Polskie państwo powinno się obudzić i wykazać zainteresowanie losami prawie miliona swoich obywateli na zachodzie Europy. W polskich miastach powinny istnieć punkty informacyjne, gdzie potencjalni emigranci mogliby zdobyć rzetelną wiedzę o brytyjskiej rzeczywistości.

Przebudzenie przydałoby się też reprezentacji polskiego państwa w Wielkiej Brytanii. Konsulat w Londynie odrzucił prośbę o wsparcie petycji Prawo Daniela, zapowiadając, że nie będzie interweniować i nie przekaże informacji do brytyjskich służb socjalnych, jeśli ktoś zgłosi się doń z podejrzeniem o stosowanie przemocy wobec polskiego dziecka. Przyczyną takiej decyzji konsulat motywuje tym, że nie będzie donosić na polskich obywateli.

OLA CICHOWLAS, EWA WILK

Polskie państwo
powinno się
obudzić i wykazać
zainteresowanie
losami prawie miliona
swoich obywateli
na zachodzie Europy.

Oferta ważna
od 12.08 do 18.08



GRILL & FUN



CAŁA MARKA GRILL & FUN = 20%

Promocją objęte są wszystkie artykuły spożywcze opatrzone logiem „Grill & Fun”.

Szczegóły akcji określa regulamin dostępny na www.lidl.pl. Oferta ważna od 12.08 do 18.08.2013 roku.

Jak leniuchować, żeby pracować

Nadchodzi kolejny długi weekend. Ekonomisci martwią się, że dni nieróbstwa odbiją się niekorzystnie na wynikach narodowej gospodarki. Bredzą, chyba z przemęczenia. My głosimy tezę przeciwną: dobre wakacje podstawą osobistej i społecznej pomyślności!

EDWIN BENDYK

Pismo Święte głosi „Kto nie pracuje, niech nie je”. Biblijne przesłanie stało się podstawą tzw. etyki protestanckiej premiującej życie oszczędne i pracowite, nakazującej traktować wykonywaną profesję nie jako zło konieczne, lecz jak dane od Boga powołanie. To właśnie ta etyka – przekonywał ponad 100 lat temu wielki niemiecki socjolog Max Weber – przekształciła się w ducha kapitalizmu, bez niej trudno sobie wyobrazić rozkwit ekonomiczny pionierów kapitalistycznej gospodarki: Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Holandii, Niemiec.

USA do dziś zresztą trwają przy swoim kulcie pracy – to jedyny spośród 34 krajów należących do OECD, klubu najbogatszych państw świata, w którym prawo nie gwarantuje żadnej formy płatnego wypoczynku. W sprawie wakacji Amerykanie muszą się dogadywać ze swoimi pracodawcami i w efekcie spędzają na urlopie przeciętnie 9 dni w roku. Mimo to i tak ponad 30 proc. z nich nie wykorzystuje danego im czasu, a 50 proc. zabiera robotę ze sobą.

Przeciętny obywatel USA przepracował w 2012 r. 1790 godzin, aż o 500 więcej od statystycznego Francuza. Zdawałoby się, że rewolucja technologiczna powinna te proporcje zmniejszać, ale jest przeciwnie. Słynna kalifornijska Dolina Krzemowa, symbol cyfrowego kapitalizmu, to miejsce, gdzie tyra się na okrągło, w biurze i domu – wszak pozwala na to dziś Internet. Członkowie zespołu programistycznego, którzy na początku lat 80. tworzyli dla Steve’a Jobsa i jego firmy Apple komputer Macintosh, nosili koszulki: „90 hrs/wk and loving it”, czyli pracuję 90 godzin tygodniowo i kocham to. Dziś choć Jobs już nie żyje, Apple jest najbogatszą firmą na świecie, w samej tylko gotówce ma odłożone 150 mld dol.

© GETTY IMAGES/FPM